

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ „ — 40 „
 $\frac{1}{4}$ „ — 20 „
 $\frac{1}{8}$ „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Dziad przemówił do obrazu...

Od p. Rafała Macklewicza, miejscowego publicysty litewskiego otrzymujemy poniższy artykuł, będący jakby rozwinięciem i uzasadnieniem naszych uwag, zawartych w artykule wstępnym p. t. „Nie tędy droga” (Nr. 6 „Przegl. Wil.”) Może niesłusznie identyfikuje autor administrację ze społeczeństwem polskim, ale winien temu B.B.W.R., który czyni wszystko, aby zatrzeć tę różnicę. (Red.)

Wszystkie dotychczasowe wysiłki w celu ustalenia jakiegokolwiek modus vivendi między Litwą a Polską — narazie nie osiągnęły żadnego skutku. Tak przynajmniej twierdzą sceptycy. Trochę inaczej ujmują sprawę optymiści, którzy są tego zdania, że pewne zbliżenie między Litwą a Polską nastąpiło, że już obecnie wszyscy, którzy bliżej interesują się kwestją litewską, o wiele więcej wiedzą o Litwie, niż przed kilkunastu laty, kiedy były modne hasła: „Litwa rządzona przez Niemców, Litwini to naród pogański, język litewski potrzebny tylko chłopom i t. p.”.

Gdzie znajduje się prawda? Czy po stronie sceptyków, czy optymistów — kwestja jest względna. Autor niniejszego artykułu prawie bez zastrzeżeń stoi po stronie pierwszych t. j. sceptyków. Swoje głębokie przekonanie opiera nie na jednym lub drugim artykule, które od czasu do czasu ukazują się w prasie polskiej i są napisane w duchu przychylnym dla Litwy, nie na odczycie, wygłoszonym od czasu do czasu przez radio,*) lecz na wydarzeniach z życia litewskiego w Wileńszczyźnie, gdyż to życie jest związane ściśle ze stosunkami polsko-litewskimi. O, jakże smutny jest bilans tego życia! Już obecnie po kilkunastu latach nikt nie jest w stanie nietylko w jednym, chociaż najbardziej wyczerpującym artykule lub w studjum, ale nawet w grubym tomie odtworzyć historii życia litewskiego w Wileńszczyźnie. Na to potrzebne są całe tomy.

Mówiąc o bolączkach tego życia w imię bezstronności trzeba podkreślić, iż nasze litewskie ży-

cie zaczęło się kurczyć od 1926 r., w tym bowiem roku nastąpił przewrót majowy i pod jesień doczekaliśmy się w Wilnie arcybiskupa Jałbrzykowskiego. Od tych wydarzeń obecnie upływa dziewięć lat. Żeby nie wyglądało, iż operuję tu pustymi frazesami, trzeba zajrzeć prawdzie w oczy.

W wyniku dziewięcioletnich rządów obecnego arcybiskupa, nie pozostało w archidiecezji wileńskiej prawie ani jednej litewskiej lub mieszanej parafji, gdzieby nie było zmniejszone lub wogóle zniesione nabożeństwo dodatkowe w języku litewskim.

Mówiąc o bolączkach życia kulturalno-oświatowego przedewszystkiem należy podkreślić co następuje. Litewska prasa w Wilnie niejednokrotnie zaznaczała, iż ludność litewska w Wileńszczyźnie pracuje tylko na niwie kulturalnej. To samo wykazała i praktyka życiowa. Dlatego nikt niema żadnej podstawy oskarżać ludność litewską o jakąkolwiek irredentę i dążenia antypaństwowe. Jeżeli w prasie polskiej zdarza się czytać inwektywy pod adresem społeczeństwa litewskiego, to tu mamy do czynienia z t. zw. prasą narodową lub z neofitami z pod znaku B.B., którzy nie mogąc niczem innym wykazać swej działalności, dorabiają się w kampanji antylitewskiej.

Natomiast ludność litewska w Wileńszczyźnie pragnie przedewszystkiem: 1) mieć swobodę działania w dziedzinie czysto kulturalnej i 2) posiadać szkoły z językiem wykładowym litewskim. Te postulaty ludności litewskiej, zdaje się, są zrozumiałe i nie mogą być traktowane jako czyny antypaństwowe. W praktyce jednak widzimy utrudnianie wszelkimi sposobami społeczeństwu litewskiemu działalności kulturalnej. W tej dziedzinie, jeżeli ją porównamy ze szkolnictwem litewskim, panują jeszcze stosunki znośne, chociaż ostatnimi czasy w całym szeregu okolic zamieszkałych przez ludność litewską lub mieszaną jak Hoduciszki, Gierwiaty, Werenów, powiat brasławski i w innych miejscowościach, tyle się wytacza spraw karnych Litwinom, że doprawdy trudno w nich połapać się.

Np. w roku ubiegłym jak podała prasa polska w Wilnie, na terenie Wileńszczyzny za nauczanie dzieci po litewsku i za przechowywanie książek

*) Bardzo wiele szkodzą sprawie porozumienia litewsko-polskiego t. zw. „Chwilki litewskie” w radjo wileńskim, gdzie prelegenci stale atakują Litwę.

litewskich, które rzekomo nie mają debitu, zostało wytoczone 350 spraw karnych. W pierwszym kwartale roku bieżącego prasa litewska w Wilnie zdołała zanotować 40 spraw karnych. Ile zaś policja na prowincji spisuje protokółów za niestosowanie się do przepisów administracyjnych u tych gospodarzy, którzy wynajmują swoje domy dla czytelni litewskich lub sami należą do towarzystw litewskich, to trudno zliczyć.

O tem wszystkim, w miarę możliwości, pisze prasa litewska, która operuje tylko samymi faktami. Mamy ich niezliczoną ilość. Mówimy o nich, piszemy, poruszamy przy każdej sposobności z działaczami polskimi i w rezultacie — to samo.

O wiele smutniej przedstawia się kwestja szkolnictwa litewskiego. W r. 1926 — 27 litewskie towarzystwo oświatowe „Rytas” (wileńskie), miało 72 szkoły początkowe, obecnie ma 15 a z nowym rokiem szkolnym będzie miało 3.

Jak do tego doszło — to dosyć długa historia. Może tylko wypadłoby wspomnieć, iż ostatnimi czasy obok dawniej stawianych szkolnictwu litewskiemu warunków (obywatelstwo nauczycieli, wymagane kwalifikacje, świadectwo moralności, zakaz podręczników, gdzie figurowały lity, później statuty dla każdej szkoły i t. d.) obecnie mamy wymagania lokalowe. Kuratorjum wprost dyskwalifikuje prawie wszystkie lokale przeznaczone dla szkół litewskich. W jednym lokalu brak tego, w innym znów czego innego, a mamy i takie wypadki (Gruta, powiat grodzieński), gdzie komisja orzekła, iż lokal nie nadaje się dla szkoły wskutek bliskości jeziora. Tego braku nikt nie mógł usunąć. Mam wrażenie, iż nie usunął go i wójt gminy marcinkańskiej, aczkolwiek obecnie tam mieści się szkoła państwowa*).

Z tego wniosek jest jeden. — Co za czasów przedmajowych w dziedzinie szkolnictwa zdołaliśmy choć z trudem zorganizować, to za czasów panowania sanacji zostało nam zlikwidowane. To zjawisko wygląda wprost paradoksalnie, bo sanatorzy lubią deklamować nie tylko o swoich demokratycznych poglądach, ale i o tem, ile to dobrodziejstw wyświadczyli mniejszościom narodowym. Ładne dobrodziejstwa!

Ostatnim wyczynem polityki szkolnej jest odebranie przez Kuratorjum prawa abiturjentom Gimnazjum Litewskiego w Święcianach składania egzaminów maturalnych w języku litewskim przy gimnazjum litewskim w Wilnie. Czy się uda tę wielką krzywdę naprawić — niewiadomo, gdyż dotychczasowa praktyka wykazała, iż wszystkie starania Litwinów nie odnoszą żadnego skutku.

O wszystkich tych bolączkach jak prasa polska, tak i poszczególni przedstawiciele społeczeństwa polskiego wolą przemilczeć, ewentualnie próbują wytłumaczyć je rzekomą nielojalnością społeczeństwa litewskiego.

Ostatnimi czasy pewne koła polskie w Wilnie usiłują organizować odczyty z życia litewskiego, równocześnie słyszymy narzekania, że my, Litwini, stronimy od tego, nie chcemy podtrzymywać kontaktu ze społeczeństwem polskim.

*) Z ogłoszonej niedawno statystyki dowiadujemy się, iż w województwie wileńskim powszechnie szkoły rządowe mają 2.489 izb. W tem własnych 839, reszta wynajętych, czyli inaczej mówiąc, mieszczących się w zwykłych chatkach wiejskich. Czy te 1.650 chat wiejskich odpowiadają przepisom lokalów szkolnych — niech odpowie kto inny.

Zarzut poniekąd jest słuszny, tylko bardzo jednostronny.

Na wszystkie te odczyty (literatura litewska, zarys dziejów książki litewskiej, malarstwo litewskie i t. d.) przychodzą jedni z Polaków pomnąc dawne dobre czasy („kochajmy się”), inni chcąc dowiedzieć się czegoś z życia litewskiego, które uważają za coś egzotycznego, dalekiego. I na tem koniec. Żadnego bliższego zainteresowania się tem, co się dzieje z ludnością litewską w Wileńszczyźnie, — nie widzimy. A jeżeli kto z obecnych Litwinów odezwie się o tem, to zaraz słyszymy głos: „Panie, to polityka. My nie przyszliśmy tutaj bawić się w politykę.”

Niestety, panowie. Nie jest to żadna polityka, lecz tylko życie, o którym musimy mówić, pisać, głosić, bo *cierpimy*. Niech to słowo nie razi ucha czytelnika polskiego, ponieważ tutaj niema najmniejszej przesady. Nieporozumienie tkwi w tem, że kiedy my mówimy o tem, co nas boli, Polacy traktują to jako niedopuszczalną politykę. Wobec tego zachodzi pytanie, jaki jest sens uczęszczać na te odczyty, jeżeli jesteśmy nawet traktowani jako egzotyczni mieszkańcy lub jako kolonja litewska w Wilnie?

Dlatego większa część społeczeństwa litewskiego unika tych odczytów, zebrań, herbatek i t. d., gdyż takowe imprezy nie dają żadnej korzyści i przypominają słowa piosenki: „Dziad przemówił do obrazu...”

Może trudno jest wymagać, ażeby w społeczeństwie polskim, które samo nie tak dawno cierpiało, znaleźli się Herzeny i Bakuniny. Ale bliższego zainteresowania się sytuacją ludności litewskiej w Wileńszczyźnie dawno oczekujemy. Skoro jednak tego zainteresowania niema, jesteśmy zmuszeni zachowywać się z rezerwą, nie wierzymy w piękne, lecz nic wspólnego z życiem nie mające hasło: „Miej serce i patrz w serce”!

Rafał Mackiewicz

Czy chwasty?..

P. Józefa Dubickiego boli bardzo*), że język polski w Wileńszczyźnie jest zachwaszczony i zwyrodniał przez obce naleciałości.

„Wileńszczyzna — informuje nas Dubicki — w ciągu stuleci była terenem ścierania się językowo obcych sobie nacjonalizmów. Dlatego w polszczyźnie dzisiejszego Święciańszczuka i Oszmiańszczuka można dostrzec piętno wpływów litewskich, białoruskich, rosyjskich... Ponadto w mowie tutejszej spotyka się dość często elementy łaciny i francuszczyzny, które to naleciałości pochodzą od magnaterji i szlachty szaraczkowej... Dawniej francuszczyzna taka była odznaką wyróżnienia i dworskości, dziś niektórych podobnych wyrazów i zwrotów używa jakiś stary podupadły szlachcic zaściankowy, noszący zbutwiałe herby za cholewa, pisarszczyk z elementarnym wykształceniem i chroniczną manją wielkości i t. p.”

P.J.D. gniewa się mocno na takie obce wpływy i nawołuje do krucjaty przeciwko nim. Pan J. D. nie jest zresztą odosobniony, gdyż większość grammatystów polskich stanowią puryści językowi, którzy

*) Artykuł w „Kurjerze Wileńskim” p. t. „Zachwaszczenie języka polskiego na Wileńszczyźnie”

stoją niezłomnie na straży czystości języka. Ci kano- niści językowi nie rozumieją wcale, że język nie może rozwijać się tylko przez samorodztwo, lecz każdy język wzbogaca się również przez wchłanianie nowych pierwiastków, rozpuszczających się ostatecznie w danym języku. Jak przymieszka nowej krwi wzbogaca rasę, tak samo dopływ, oczywiście, umiarkowany i harmonijny, nowych pierwiastków do języka, wychodzi tylko na zdrowie temu językowi.

Chce p. J. D. przykładu, zaraz nim służę. Język rosyjski zawdzięcza swoje bogactwo kolosalne, którego nikt nie neguje, właśnie dlatego, że języka tego nie krępowano w jego rozwoju. Literat rosyjski mógł swobodnie czerpać i czerpał pełnemi garściami wszelkie naleciałości z nad Wołgi i z nad Dniepru, z nad Newy i z nad Amuru, z nad Syr-Darji i z nad Wisły. Wszystko to urozmaicało pisarski język rosyjski, który bezsprzecznie należy dziś do najbogatszych na świecie.

Najgorszą przysługę uczynili językowi polskiemu ci strażnicy czystości języka polskiego, którzy zazdrośnie strzegli go przed wszelkimi dopływami, ożywiającemi mowę krajową. Ci kano niści językowi, okuwszy język w kajdany, zatamowali jego naturalny rozwój. I gdyby nie znakomici mistrzowie słowa, którzy bez ceremonji rwali te kajdany, dając językowi szerszy oddech, mowa polska pozostałaby o wiele uboższą, niż jest.

Przyjemnie jednak stwierdzić, że nawet taki purysta językowy, jak pan J. D. sam — choćby w cytowanych wyżej ustępach — zachwaszcza język polski takimi samymi lokalizmami, jakim wypowiada walkę. Skądże się wziął u niego „Oszmiańczuk i Świeciańszczuk” (czy nie lepiej napisać już Świeciańczuk — bez sz?), a skąd przywędrował do jego artykułu „pisarczuk”?... Czy z polszczyzny klasycznej?... Powiedziałbym: — Medice, cura te ipsum! — gdyby nie to, że tutaj jako żywo niema żadnej choroby, lecz zdrowe poczucie pewnej odrębności językowej, związanej z historją i psychiką krajową, które to poczucie mimowoli się u pana J. D. odbiło.

A czy bardzo pana J. D. raziło i oburzało, gdy w swoim czasie Pan Longinus Podbięta, słuchając dworowania Imci Pana Zagłoby, odpowiada mu stropiony: — „Słuchać hadko Waszmości”... Dlaczego p. J. D. nie wytknie Sienkiewiczowi, że zachwaszczał język polski?... A teraz p. J. D. „słuchać hadko” podobne wyrazy i chce je koniecznie wypłenić z języka krajowego.

Ach, Panie Dubicki dał nam Pan niemałą satysfakcję, że podświadomie użył Pan słów „Oszmiańczuk i pisarczuk”, użył Pan nawet w swoim artykule wyrazu „bałagan”, aczkolwiek po polsku lepiej byłoby powiedzieć — zamęt, chaos lub nieporządek. Niech Pan idzie trochę dalej w swych koncesjach językowych i niech Pan nam pozwoli używać tych wszystkich wyrazów, przyjętych w Wileńszczyźnie, które Pan umieścił na surowym indeksie w swoim artykule. Co to Panu szkodzi?... A ludziom tutejszym będzie przyjemniej mówić, jak byli od wieków przywykły. Dobrze?...

A zato obiecujemy Panu solennie, że mówiąc o człowieku, który pochodzi z Wielkopolski, nie powiemy nigdy o nim, że jest Poznańczykiem, lecz jak należy — Poznańczykiem, nie pochodzi z Poznańszczyzny, ale jak się patrzy — z Poznańskiego. Nie powiemy, bo nie jesteśmy zachłanni. Nie ruszaj Pan tylko tutejszego języka, bo go stworzyło życie w swoim rozwoju, a nie panom od gramatyki zmie-

niać go i oczyszczać z chwastów. Czy my się gniewamy, że ktoś zajada na Zachodzie pyрки, ale pozwól nam jeść nasze kartofle, a jak człowiek biedny i ciemny, niech łopie kartoszkę i daj jemu Boże zdrowie.

Te chwasty językowe to żywa pamiętka wielowiekowego oddziaływania kultury polskiej na ludność litewską i białoruską. Ślady tego współżycia niechaj pozostaną w języku tutejszym, który jest skarbnicą pamiętek i dlatego kochają go ludzie tutejsi.

Nie z dopływem do języka krajowego pewnej ilości wyrażań, historycznie zresztą uzasadnionych, należy walczyć, lecz z bezdusznem szkolaremstwem, hamującym przyrodzony rozwój języka, bo język to nie zamknięta *camera obscura* i nie konstrukcja mechaniczna, lecz żywy organizm, nieznoszący nadmiernych powijaków. Zbyt daleko posunięty puryzm językowy prowadzi do mumifikacji języka, to jest — do jego grobu. Martwe języki, jak greka i łacina, mogą być kultywowane i konserwowane w przebrzmiałych zastygłych formach, lecz żywy język, dopóki nie powiedział swego ostatniego słowa, nie powinien być balsamowany za życia, a przez to samo ograniczany w możliwościach swego rozwoju zapomocą naturalnych i z życia wpływających recepcyj.

Bolesław Szyszkowski.

Niezbędne poprawki.

(List do Redakcji).

Pamiętnikarze — przy całej swej dobrej woli, by dać bezstronne informacje i oświetlenie faktów minionych — częstokroć grzeszą zbytnią wiarą w nieomylnych posiadanych wiadomości, niezawsze źródłowych i ścisłych, i nie uważają za potrzebne sprawdzać je przed ich zapisaniem do dziennika. Ten zarzut uczynić należy i Edwardowi Woyniłłowiczowi, z którego pamiętników „Przegląd Wileński” zamieścił w Nr. Nr. 5—8 szereg wyjątków, dotyczących kwestji białoruskiej. Chciałbym też na szpaltach tegoż pisma sprostować lub uzupełnić niektóre twierdzenia Woyniłłowicza w tej kwestji, odbiegające od obiektywnej prawdy.

Oso biście z Woyniłłowiczem na gruncie społecznym *nigdy* się nie spotykałem. Podtrzymywał z nim stosunki w czasach przedwojennych brat mój ś. p. Jan Łuckiewicz, i jego to oczywiście miał na myśli pamiętnikarz, opowiadając o wizycie metropolity Andrzeja Szeptyckiego w towarzystwie Łuckiewicza. Jest to zgodne z prawdą. Nieprawdziwą jest natomiast podana przez Woyniłłowicza informacja o rzekomym udziale Łuckiewicza (bez podania imienia) w naradach polsko-białoruskich w Warszawie w lipcu r. 1919. Brat mój bowiem od wiosny tego roku był już obłożnie chory — w ostatniem stadium gruźlicy, w czerwcu został przewieziony do Zakopanego i tam 20 sierpnia 1919 r. umarł. Nie mógł więc ani być ani tembardziej przemawiać na zebraniu polsko-białoruskiem, jak to twierdzi Woyniłłowicz. Nie mogłem tam być i ja, gdyż przebywałem podówczas w Paryżu, skąd przybyłem do Warszawy w ostatnich dniach sierpnia 1919 r. Charakterystycznym jest, iż Woyniłłowicz, pisząc swoje notatki chyba na świeżą pamięć, już wówczas nie pamiętał, czy na owem zebraniu przemawiał Łuckiewicz, czy Aleksyuk. Taki brak pamięci o wy-

darzeniach najświeższych poważnie dyskredytuje ścisłość i innych twierdzeń Woyniłłowicza.

Jeszcze gorzej jest ze sprawą oświeclania przez pamiętnikarza bieżących wydarzeń: nie wszystko wiedział, nie we wszystkich sprawach białoruskich dostatecznie się orjentował, polegając najwidoczniej częstokroć na informacjach z drugiej lub trzeciej ręki. Nawet w sprawie swego osobistego udziału w ruchu białoruskim od jego zarania nie jest Woyniłłowicz ścisły: udział ten polegał na niesieniu bardzo skromnej pomocy materialnej powstałemu w r. 1906 w Petersburgu białoruskiemu t-wu wydawniczemu p. n. „Zahlanie sonce i u nasze wakonce”. Czy pomagał również wydawnictwu „Łuczynki” i „Sachi”, nie wiem. Zaznaczam natomiast, iż twierdzenie Woyniłłowicza, że usunął się z takich stowarzyszeń, jak „Łuczynka”, „Sacha” i „Zahlanie sonce...”, ze względu na ich kierunek socjalistyczny, jest conajmniej dziwne: ani „Łuczynka”, ani „Sacha” nie były stowarzyszeniami, lecz — pismami. „Łuczynka” — piśmko dla dzieci, „Sacha” — fachowe czasopismo rolnicze — były całkowicie apolityczne. Co zaś do stowarzyszenia „Zahlanie sonce...”, to i tutaj doszukiwanie się tendencji socjalistycznych jest zupełnie bezpodstawne. Chyba że Woyniłłowicz uważał za socjalistę Franciszka Bohuszewicza (Macieja Buraczka), którego utwory, czasami uszczypliwe w stosunku do „panów”, były wydane przez to towarzystwo.

Omawiając swe kontakty z Białorusinami w okresie wojennym i niepodległościowym Woyniłłowicz zbyt uogólnia te kontakty. W rzeczywistości łączyły go pewne stosunki z grupą Romana Skirmunta, która początkowo przeciwstawiała się Radzie Republiki, lecz po proklamowaniu niepodległości Białorusi weszła w skład Rady. Lecz i te stosunki sprowadzały się przeważnie do osoby przewodcy grupy.

Nieścisle i wprost krzywdzącym dla Białorusinów jest oświecenie przez Woyniłłowicza charakteru Zjazdu Wszechbiałoruskiego w grudniu r. 1917 w Mińsku, który to zjazd za proklamowanie Republiki Białoruskiej w związku federacyjnym z Rosją został przez władze bolszewickie rozpędzony bagnami. Sympatje rządu Kiereńskiego i rzekoma pomoc materialna z tej strony — to poprostu mit, na niczem nie oparty. Wiadomo bowiem powszechnie, iż właśnie Kiereńskij stanowczo sprzeciwił się organizowaniu narodowej armii białoruskiej i rozwiązał już powstałe formacje takowej. — w okresie zaś Zjazdu Wszechbiałoruskiego w Mińsku panami położenia byli już bolszewicy. Również krzywdzącym i niezgodnym z prawdą jest twierdzenie Woyniłłowicza, iż Zjazd rzekomo składał się „z osobników wcale nieświadomych, ale posłusznych”. Komu posłusznych? Bolszewikom, którzy Zjazd rozpędzili za jego narodowe tendencje białoruskie? Ale przecie wiadomem jest, iż zebrała się tam cała białoruska elita narodowa — ci sami ludzie, którzy i w dalszym ciągu brali czynny udział w budowaniu Białorusi, a nazwiska ich Woyniłłowicz cytuje dalej z pełnym szacunkiem. Takie „rozprawienie się” z prawdą imponującym kongresem białoruskim wytłomaczyć się daje chyba tylko tem, że nastroje uczestników jego były społecznie bardzo radykalne, co obszarnikowi Woyniłłowiczowi nie mogło się podobać. Nie zmienia to jednak istoty sprawy i istotnego charakteru tej białoruskiej konstytuaty.

Nie omawiam szerzej akcji białoruskiej na terenie Mińska i Warszawy, kiedy to Woyniłłowicz pozostawał w kontakcie ze Skirmuntem, Iwanowskim, Dubiejkowskim i innymi. W akcji tej ani przed podróżą do Paryża w delegacji na konferencję pokojową, ani po powrocie — w latach 1920—21 — żadnego udziału nie brałem. Pertraktowałem w zimie 1919—20 r. z rządem polskim w imieniu rządu niepodległej Białorusi — w płaszczyźnie wyłącznie między państwowej. Muszę jednak, jako postronny i daleki podówczas obserwator opisywanych w pamiętnikach W. poczynań społeczeństwa, stwierdzić nieścisle przedstawienia przez Woyniłłowicza białoruskiej akcji zbrojnej i tworzenia wojska białoruskiego pod egidą Polski. Otóż tworzenie oddziałów białoruskich w związku z armją polską robiło wrażenie poprostu bluff'u politycznego. W Mińsku w końcu r. 1919 pompatycznie rozpoczęto organizowanie sztabu wojsk białoruskich — tak zwanej Białoruskiej Komisji Wojskowej — z tem, by do stworzenia samych wojsk nie dopuścić... Oto bowiem władze polskie w tymże Mińsku rozesłały do wszystkich starostów poufny okólnik, polecający aresztowywać i odsyłać do Mińska agentów tej-że komisji, o ileby rozpoczęli werbowanie żołnierzy do owych oddziałów białoruskich. Tekst tego ciekawego dokumentu, podpisanego w imieniu zastępcy Komisarza Generalnego Ziem Wschodnich przez p. Fastowicza-Zahorskiego, był opublikowany w Wilnie w jednym z czasopism białoruskich kilka lat temu. Nic dziwnego, że w takich warunkach do stworzenia białoruskiej siły zbrojnej dojść podówczas nie mogło.

Wierzę, że Woyniłłowicz chciał być w swych pamiętnikach obiektywnym, lecz — nie mógł. Nie mógł, gdyż całe jego nastawienie zgóry przeciwstawiało się akcji białoruskich niepodległościowców, składających się przeważnie z tak niemiłych autorowi socjalistów. Stanowisko Woyniłłowicza, jako Polaka — obywatela Białorusi i przy tem — obszarnika, było zaiste bardzo trudne: współczuł z niepodległościowcami o tyle, o ile starali się oderwać Białoruś od bolszewickiej Rosji, lecz jednocześnie marzył o przyłączeniu tego „niepodległego” kraju do Polski, której był państwowy nie był jeszcze wcale ustalony i zabezpieczony, lecz która ewentualnie broniłaby „stanu posiadania” polskiego ziemiaństwa od radykalizmu Białorusinów w dziedzinie kwestji agrarnej. Stąd — mimowolna może animozja do tych wszystkich działaczy białoruskich, którzy dążyli do zupełnej niepodległości swej ojczyzny i propagowali oddanie ziemi — włościanom. Tem się też tłumaczy tak niesłuszne nazywanie „moskalofilami” szeregu Białorusinów, których władze polskie zaaresztowały w Mińsku w grudniu r. 1919.

Uwagi moje oczywiście nie wyczerpują kwestji nieścisleści pamiętników Woyniłłowicza. Przypuszczam, iż bardziej wyczerpujące sprostowanie tych nieścisleści dać zechcą osoby, które w omawianym przez pamiętnikarza okresie pracowały w Mińsku i Warszawie.

Antoni Łuckiewicz.

Kwestja obrzadku w akcji misyjnej.

Pod tym tytułem ukazał się w „Dzienniku Wileńskim” (Nr. 100 z d. 11.IV. 35 r.) artykuł, który zachęcił mię do zabrania głosu, ze względu na przynależność jego autora do stanu duchownego.

Przedewszystkiem pragnąłbym uwagę zwrócić na historyczną stronę poruszonej w artykule kwestji.

Faktem niezaprzeczoną jest, że tak Chrystus, jak powołani przezeń apostołowie żyli i działali na Wschodzie, i tam właśnie założony został Kościół i powstały jego najstarsze obrządki. Dlatego też liturgia Kościoła pierwotnego, mniej więcej aż po II. 200—300 po Nar. Chr., napewno nie była łacińską, lecz hebrajską (wzgl. aramejską) i grecką, a więc wschodnią. Oczywiście stąd jest, że wierzący chrześcijanin, — cóż dopiero ksiądz! — nie ma prawa lekceważyć sobie ważności i powagi wschodniego Kościoła, który jest macierzą i kolebką Kościoła zachodniego.

We wspomnianym tu artykule ks. Sieczkaowiada: *Od nawróconych prawosławnych należy żądać przyjęcia obrządku łacińskiego*. Każdy logicznie myślący człowiek musi zgodzić się z tem, że *nawracać* nie jest to samo co *żądać* czego, jak z widocznym upodobaniem twierdzi autor. Nawracać kogoś winno być rozumiane jako wpływanie na czyjeś przekonania tak, by ten, idąc za popędem własnego serca i z dobrej a nieprzymuszonej woli, zaczął dążyć do wytkniętego w ten sposób celu, natomiast *żądać* — to stosować dyktaturę i zmuszać kogoś do przyjęcia czegoś wbrew swemu przekonaniu. Ks. Sieczka właśnie pisze: *Należy żądać*, zupełnie zapominając, że takąż stosowaną za rządów caratu metodę sam bezwzględnie potępia. Dalej: to *żądać* sprzeciwia się wyraźnej nauce Chrystusa, który wszak mówił: *Idźcie i nauczajcie wszystkich*. Trzeba tedy nauczać i przekonywać, a nie tylko nakazywać i zmuszać.

Jako przyczynę, dlaczego ma się żądać od prawosławnych przyjęcia obrządku łacińskiego, wymienia ks. Sieczka następującą: „Ludność prawosławna na kresach jest ciemna. Nie zna zasad ani swej wiary prawosławnej, ani tembardziej wiary katolickiej. Obrządek wschodni, zamiast pożytku, może przynieść dla sprawy katolickiej tylko szkodę, gdyż uświadomi ludność kresową w obrządku zbliżonym pod względem formy do prawosławnego. Obrządek łaciński, śmiem twierdzić dla ciemnej prostej ludności kresowej, jest łatwiejszy (?) do zrozumienia od obrządku wschodniego”.

Otóż stanowczo nie podzielam poglądu, że dla ciemnej a prostej masy ludności kresowej, obrządek łaciński byłby dostępniejszy a zrozumialszy niż wschodni, jaki się posługuje starosłowiańską mową (zabarwianą jednak zwykle pronuncjacją na Ukrainie ukraińską, na Białorusi — białoruską i t. d.). Przeciwnie! Właśnie że łatwiej jest komuś wpoić naukę dogmatyczną Kościoła katolickiego, jeśli się mu pozostawi obrządek, w którym się wychował i który jest w jego sercu od najmłodszej jego młodości wkorzeniony. Zato nieskończenie trudniej jest siłą wyrwać u takiego człowieka z serca jego najgłębsze uczucia i zasadzić tam nowe.

Czy autor mniema, że dla ciemnych a prostych prawosławnych na ziemiach ruskich liturgia łacińska byłaby łatwiejszą do zrozumienia niż znana im w dzieciństwie starosłowiańska? Jakże grubo się tu myli! Albo może mamy pod maską religji i Kościoła, dążyć do celów, jakie w żadnym właśnie nie stoją związku z religją i Kościołem?! Ks. Sieczka pisze w swym artykule: „W każdym razie nie można powiedzieć, aby obrządek wschodni przyczynił się do *polonizacji* kresów. O ile władze rządowe zechcą popierać w mniejszy lub większy sposób, akcję misyjną na kresach, wychodząc ze

swej racji politycznej, najprawdopodobniej uwzględnią nawracanie w obrządku łacińskim”. Jeśli rozważyć *meritum* zagadnienia, t. j. że wschodni zjednoczony Kościół jest doskonale katolickim, to nie będzie już nam potrzebny żaden komentarz, by zrozumieć, dlaczego właściwie ks. Sieczka atakuje pod maską świętoszka Kościół wschodni i pragnie go usunąć z widowni. Można być lojalnym obywatelem i dobrym patriotą, lecz jak powiedział Chrystus: *Nie można dwom panom służyć*. W zasadniczych a najżywoźniejszych dla siebie sprawach Kościół nie ma prawa podporządkowywać się państwu. Inaczejby zaparł się własnej misji i nawet racji swego bytu. Nie możemy służyć jednocześnie Kościołowi i polityce. Niech polityce wysługują się ci, co jej się już poświęcili, lecz duchowieństwo winno wyłącznie być na służbie Kościoła Chrystusowego i mieć na oku szerzenie Królestwa Bożego na ziemi.

Mamy więc być ani łacinnikami, ani grekami, lecz katolikami.

Wysunięty przez ks. Sieczkę dylemat: łaciński czy grecki zjednoczony Kościół? przypomina mi słyszana raz rozmowę dwu fanatycznych kumoszek w Wilnie, które się sprzeczały na temat cudownej mocy M. Boskiej. Jedna z nich chciała udowodnić że cudowniejszą jest M. B. Częstochowska, druga zaś twierdziła że Ostrobramska... Tymczasem, jak wiadomo każdemu katolikowi, Matka Boska jest wszędzie jedna i ta sama! Otóż i łaciński i grecki zjednoczony Kościół jest jednym i tym samym Kościołem katolickim.

Efpe.

Jeden z naszych czytelników, podróżujący obecnie po Ameryce Południowej komunikuje nam następujące ciekawe swe spostrzeżenie.

Oto w Ameryce przebywają obecnie wielotysięczne rzesze emigrantów rosyjskich, przeważnie b. wojskowych z armji carskiej, którzy siebie nazywają „białymi” w odróżnieniu od „czerwonych” obywateli Rosji Sowieckiej. Termin „białi Rosanie” ogólnie jest tam teraz przyjęty. Cudzoziemcy przeto, których nasz korespondent chciał poinformować o stosunkach narodowościowych w Wileńszczyźnie, ani rusz nie mogli się zorientować, jaka różnica zachodzi pomiędzy Białorusinami, o których nic nie słyszeli a „białymi Ruskami”, których dobrze znają i z którymi mają ciągłą styczność.

Należy przyznać, że istotnie jest to jeszcze jedna trudność dla niełatwej i tak propagandy odrębności narodowej białoruskiej na terenie zagranicznym.

Z mego notatnika.

Przyczynek do zrozumienia „tutejszości”.

Terminy „tutejszy”, „tutejszość” traktowane są w publicystyce polskiej, a poniekąd również w litewskiej i białoruskiej z ironicznym wydziwianiem. Nacjonaliści polscy utrzymują, że „tutejsi” są to Polacy, nieświadomi narodowo i posługujący się zepsutym językiem polskim, znów nacjonaliści litewscy i białoruscy twierdzą, że „tutejsi” to są Litwini lub Białorusini — zależnie od terenu, o jakim mowa — wynarodowieni, lecz niedostatecznie spolszczeni. Ci ostatni są bliżsi prawdy, ale określenie, które dają, postaci rzeczy nie zmienia. Nie chodzi wszakże o pochodzenie, o genealogję, ale o rzeczy-

wistość, o fakt, że istnieje w naszym kraju pokaźna pod względem liczebności kategoria ludności, której nie sposób zaliczyć do żadnej określonej grupy etnicznej. A jak ją będziemy nazywali — to kwestja drugorzędna. Jeżeli ktoś wynajdzie dla niej nazwę bardziej odpowiednią, przysłuży się sprawie unormowania statystyki i klasyfikacji narodowościowej, na treść to wszakże nie wpłynie. Istota „tutejszści” pozostanie ta sama.

Dokładne pojęcie o niej daje pamiętnik niejakiego Wołodzki, mieszkańca gminy hoduciskiej w pow. święciańskim, zamieszczony w Nr. 7 „Buntu Młodych”. Redakcja nie podaje żadnych bliższych szczegółów o autorze tego pamiętnika, zagadką również pozostaje, jaką drogą pamiętnik znalazł się w jej ręku. Redakcja wydrukowała go, zdaje się, bez żadnych zmian, nie poprawiając ani stylu, ani nawet ortografji. Ingerencja redakcji ograniczyła się do umieszczenia u góry utworu dwuszpaltowego tytułu: „Polski Karatajew — Wołodzko. Pamiętnik chłopski”. Tytuł najzupełniej niestosowny, gdyż właśnie polskość autora jest mocno problematyczna. Zarówno język, jak światopogląd Wołodzki bardzo mało mają wspólnego z polskością. Typowy człowiek „tutejszy”.

Weźmy dla przykładu kilka zdań z pamiętnika: „Odrazu po mnie poszedł droż, uciekałbym, niema gdzie, stoja w mieszkaniu osłupiewszy; słysze stuknęli drzwi od sieni, wlatuje do chaty nasz żołnierz”..., „Tam żyłosia nie z biedaj o jedzeniu i mieszkaniu, tylko jedna bieda, że często przychodziłosia aż za baterja chodzić na pierwsza prawie linja; żeby nie las, to z karabina puli dostawalib, a snarady przez wierzch lecieli”..., „I przyszło żyta żniwa, to już my sami żęli, tylko że mało było zasiana i brat starszy wróciłsia z wojny i brat kowal ożeniłsia z toj samoj, co kochausia w swojaj wsi i zżali żyta i podzielili na trzy doli”... Czy to jest polszczyzna?

A poczucie narodowe? Wybornie charakteryzuje je ustęp poniższy: „Wiesnawaj poraj bolszewików polacy wypędzili. Też bieda u nas. Kto miał konia, to zabrali i wozy zabrali, jak uciekali, a potem jak bolszewiki pędzili polaków, też *polacy nasz naród* nie żalowali, u kogo buty zdarli i pieniądze” i t. d. To przeciwstawienie „naszego narodu” Polakom jest niezmiernie charakterystyczne i dostatecznie wymowne.

Pamiętnik jest naogół bardzo ciekawy. Daje on bogaty materiał dla wyrobienia sobie pojęcia o warunkach bytowania przeciętnego miejscowego chłopca przed wojną, podczas wojny i po wojnie. Daje on również możliwość zapoznania się z psychiką obrotnego i zdolnego Święciańczyka, który i na fabryce pracował i z Niemcami dawał sobie radę i w wojsku polskim służył, a który, mimo to, pozostał w pełnym tego słowa znaczeniu „tutejszym” o nieokreślonej przynależności narodowej, nie posiadającym żadnego poczucia obywatelskiego, tęskniącym jeno do „rosiejskich czasów”. *Ot odnich otstał, k drugim nie pristał!*

Niewłaściwa kwalifikacja.

Niema nic głępszego, niż megalomanja narcydowa. Świetnie ją scharakteryzował prof. Bystron w wstępie do swego studjum historyczno-etnograficznego pod powyższym tytułem. Liczne jaskrawe objawy tej megalomanji narodowej mieliśmy możliwość obserwować podczas wojny wszechświatowej, kiedy to dziennikarze, literaci, artyści a nawet naukowcy

wysilali swe zdolności i talenty, by przedstawić nację, wchodzące do bloku nieprzyjacielskiego, w świetle jaknajbardziej ujemnem, aby je poniżyć, ośmieszyć i zożydzić w oczach swych rodaków i ich sprzymierzeńców. Miało to służyć do wzmocnienia uczuć patriotycznych, w rzeczywistości zaś prowadziło do budzenia najniższych instynktów w masach, do ich rozbestwienia.

Ale i w czasach pokojowych, chociaż nie w takim stopniu, uprawiane jest z zamiłowaniem przez prasę brukową, a zwłaszcza quasi humorystyczną szczucie opinji swego społeczeństwa przeciwko tym narodom, z którymi w danym momencie stosunki polityczne są naciągnięte, czy to wskutek nieporozumień chwilowych, czy też dzięki antagonizmom odwiecznym. Takie pisma, jak „I. K. C.” lub „Mucha” stale i wytrwale zapełniają swe szpalty inwektywami — w słowie i rysunku — pod adresem Ukraińców, Żydów, Litwinów, Czechów, zależnie zaś od konjunktury międzynarodowej ostrzą swój wątpliwy dopic to na Niemcach, to na Francuzach i bolszewikach rosyjskich.

Nie odróżnia się przytem narodu od poszczególnych jego organów rządzących lub wykonawczych. Bezceremonjalne uogólnianie jest tu zasadą uświęconą i ogólnie przyjętą. Wywołuje też to skutek odwrotny. Włosi czują się dotknięci, gdy ktoś dworuje sobie z efekciarskich gestów Mussoliniego, a Niemcy uważają za swój obowiązek reagowania na drwiny z frazeologii Hitlera. I to nawet tacy, którzy bynajmniej nie są bezwzględnyimi wielbicielami czarnych i brunatnych koszul (oczywiście nie emigranci).

Jeżeli jednak Włoch i Niemiec na usprawiedliwienie swej drażliwości może się powołać na fakt, że zarówno Mussolini, jak Hitler są oficjalnymi reprezentantami państwa i że lekceważenie tych dostojników godzi jednocześnie w honor ich ojczyzny (względnie narodu), to już całkiem nie jest uzasadnione traktowanie jako obrazy uczuć narodowych karykatury osobistości, wprowadzającej bardzo popularnej i wpływowej, lecz nie piastującej odpowiedzialnego stanowiska reprezentacyjnego.

Formalną tę różnicę uwzględniła dokładnie kodeks karny. Jeżeli ktoś ubliży Prezydentowi Państwa, to odpowiada za zniewagę nie *osoby*, lecz *najwyższego urzędu państwowego*. Ten sam prezydent po ustąpieniu ze swego stanowiska, chociażby był genialnym politykiem i cieszył się ogólnem uznaniem i poważaniem, schodzi do rzędu zwykłych obywateli i nie jest otaczany specjalną opieką prawa. Może mieć on licznych gorących zwolenników, którzy pójdą za nim w ogień, ale może mieć również zaciętych przeciwników, którzy będą mu odmawiać wybitnych zalet umysłu i charakteru. W żadnym razie nie może być uważany za przedstawiciela narodu. Tembardziej trudno tego wymagać od obcych.

Wódz duchowy narodu — jest to pojęcie rozciągnięte i niezmiernie subiektywne. Można w zupełności zrozumieć odruch oburzenia ze strony wielbiciela czczonej przez siebie postaci wobec uchybienia jej wielkości, ale będzie to tylko reakcja *osobista*, nie mająca nic wspólnego z uczuciem *narodowem*. Gdyby zastosowano ścisłą kwalifikację czynu dwóch studentów Polaków w Kownie, którzy swem wystąpieniem przeciwko redaktorowi pisma humorystycznego „Kuntaplis” narobili tyle hałasu, zajęcie to zostałoby zredukowane do właściwych rozmiarów i nie wywołałoby takiego podniecenia. Licz.

Współczesny Szchedrin litewski.

Odrodzenie Litwy i rozwój kultury litewskiej, a przede wszystkim rozkwit literatury i bogacenie się jej w nowe talenty, dają krytycznemu obserwatorowi wiele materiału do należytej oceny twórczości narodu litewskiego.

Młode pokolenie pisarzy litewskich, które częściowo wyrosło i wychowało się w atmosferze niepodległościowej, inaczej rozumie swoje stanowisko w życiu społeczno-narodowym, które ich otacza i trzeźwiej podchodzi do zjawisk współczesnego życia, niż pokolenie pisarzy starszych. Młodzi patrzą na życie nie przez pryzmat fikcji, ale realnie. Takie ujmowanie spraw narodowych, społecznych i politycznych trzeba uznać za objaw dodatni, a nie ujemny.

Pośród młodszego pokolenia beletrystów wysunął się na czołowe miejsce Piotr Cvirka, zapowiadający się na przyszłość jako wybitny pisarz litewski. W dorobku swoim ma on już kilka dobrych nowel. Pierwszą jego powieść satyryczną p.t. „Frank Kruk” wywołała wśród czytającej publiczności litewskiej pewnego rodzaju panikę, to też nie dziwnego, że o utworze tym szeroko się mówi. Krytyka literacka (mowa jest o tej, która już do Wilna dotarła) oceniła „Franka Kruka” ze stanowiska mieszczańskiego światopoglądu, który ujmuje analizę w ciasne ramki tradycyjnych kanonów. Krytycy ci, zaatakowali ostro autora za to; jakoby on odmalował środowisko litewskie w Ameryce niezgodnie z prawdą; zarzuty po głębszym zastanowieniu okazują się b. wodniste i nie istotne. Zapomniano widocznie o tem, że każdy pisarz to samo środowisko inaczej widzi, inaczej odczuwa,—oczywiście mamy na myśli pisarzy utalentowanych. Wreszcie krytyka ta wzięła niby w obronę starsze pokolenie. Obrońcy ci uroili sobie, że P. Cvirka odnosi się z uprzedzeniem do generacji, która powoli schodzi z areny życia państwowego. Zachodzi tu jakieś nieporozumienie. Przecież autor nie rzuca żadnego oskarżenia pod adresem pokolenia, które wywalczyło i utrwaliło niepodległość państwa, a że wśród niego znajdują się typy mało wartościowe pod względem moralnym i kulturalnym, to już wina rzeczywistości.

Głównym bohaterem w powieści Cvirki jest Frank Kruk vel Pranas Krukelis, który urodził się i wyrósł na wsi litewskiej za czasów rosyjskich. Autor środowisko to potraktował realistycznie i odtworzył obraz prawdziwy. Typy odmalowane są plastycznie, tchną realizmem. Chłop litewski przeważnie, jak na owe czasy, gubił się w prymitywnych zagadnieniach religijnych, bo świadomość jego narodowa nie była wcale rozbudzona. Autorowi chodzi bardziej o istotę psychiczną ludu litewskiego, aniżeli o byt jego materialny.

Za udział w bójce Pranas Krukelis, obawiając się odpowiedzialności, musiał opuścić strony ojczyście i, zwyczajem ówczesnym, uciekł do Ameryki, gdzie po długich, często mocno dokuczliwych, perypetjach stał się istotnym Amerykaninem, stawiając sobie za cel w życiu szybkie z bogacenie się. Pranas Krukelis przeistacza się nietylko zewnątrz (Frank Kruk), ale i wewnątrz; psychika jego staje się typowo jankesowska, oczywiście z tem zabarwieniem, jakie daje obce, świeże pochodzenie. Pomimo to Frank Kruk nie zatracą łączności duchowej ze swoimi rodakami, nawet budzi się w nim pierwiastek narodowy. Ta przemiana przyszła dziwnie

łatwo, gdyż Krukelis jadąc do Ameryki nie posiadał żadnej istotnej kultury, nie mówiąc już o świadomości narodowej, która u takich ludzi jest dość problematyczna. Natomiast posiadał, pomimo skłonności do ryzyka życiowego i nadmiaru żywiołowej energii, mocne podstawy moralne, co prawda gdzieś w zakamarkach duszy ukryte. W Ameryce był on w rozmaitych sytuacjach, w których słabsi ludzie giną, jednak on nigdy moralnie nie upadł; tylko w pewnych okolicznościach był na sposób amerykański etyczny, zresztą to nie jego wina. Wreszcie przychodzi dla niego chwila triumfu. Staje się on człowiekiem bogatym i samodzielnym businessmanem, zakładając pracownię i sklep z trumnami, który dzięki jego sprytowi, wkrótce zyskuje sławę pierwszorzędnego zakładu.

Autor, przedstawiając dzieje swego bohatera na tle kolonii litewskiej w U.S.A., ukazuje czytelnikowi sceny z życia Litwinów i ich proces amerykanizowania się. Czy to tło odmalował z wiernością fotograficzną, sędzę, że kwestja ta jest bez większego znaczenia. Jednak ma ono cechy prawdopodobieństwa. Natomiast sam proces psychologiczny tych ludzi na czele z Frankiem Krukiem jest prawdziwy i po mistrzowsku skreślony.

Staje się cud! Wolna ojczyzna!

Każdy Litwin, który jeszcze nie zatracił poczucia narodowego w U.S.A., raduje się jak umie, że jego daleka ojczyzna wyzwoliła się z pęt niewoli.

Frank Kruk wraz z innymi rodakami, jako gość z Ameryki, jedzie obejrzeć i nacieszyć się Litwą niepodległą. Frank Kruk do tego faktu nie podchodzi od strony entuzjasty—romantyka, lecz jako człowiek, który przeszedł twardą szkołę życia. Jeżeli jest chwilami sentymentalny, to wówczas staje się komiczny.

Autor przenosi się ze swym bohaterem do współczesnego małego miasta litewskiego. Typów małomiasteczkowych, z którymi styka Franka Kruka, nie idealizuje—wprost przeciwnie—smaga ich biczem gryzącej satyry, stawia to całe towarzystwo rzekomych patriotów i działaczy narodowych pod pręgierz opinii publicznej. Sztydzi z tych ludzi, którzy zajmując wysokie stanowiska, nie mają do tego żadnych kwalifikacyj moralnych i narodowych, nie posiadają żadnych zdolności państwowo-twórczych. Wyśmiewa się z nich, że los zakpił z nich, dając im stanowiska, o których przedtem nawet nie śnili. Frank Kruk na tle tej zgrai jest istotnie człowiekiem wartościowym; widać, że on tę Litwę kocha, ma iluzję, że ona może być drugą Ameryką, w której też można zarobić dolary, ale przez pracę i pomysły, a nie przez kradzież i rozmaite machinacje. Ten silny i zahartowany przez życie Frank Kruk, zostaje jednak zwyciężony przez małomiasteczkowych złodziei grosza publicznego i ginie śmiercią samobójczą, bo spostrzegł, że jego rodacy, przed którymi otworzył serce, kieszeń i zaufał im wiarą naiwnego prostaka, w gruncie rzeczy dobrego, są stokroć gorszymi i sprytniejszymi oszustami i krętaczami od amerykańskich.

Autor charakteryzując typy rozmaitych Dudów, często im zbyt dużo miejsca poświęca, nicuje ich na wszystkie strony i przez to wywołuje wrażenie pewnej przesady. W powieści tej nie spotykamy żadnych osób o cechach dodatnich.

Humor autora jest pierwszorzędny i aktualny, chwilami przechodzi w sarkazm, czytelnik jednak czuje, że jest to śmiech przez łzy.

P. Cvirka, pisząc powieść, ukrył misternie swo-

ją osobę jako pisarza, społecznika, czy moralizatora, Tylko od czasu do czasu odezwie się bezpośrednio do czytelnika z drwiącą miną.

Jako malarz typów, jako stylistą i konstruktor powieści jest najzupełniej samodzielny.

Śmiało można zaryzykować twierdzenie, że Piotr Cvirka zainicjował nowy rodzaj twórczości w beletrystyce litewskiej.

W. Sakowicz.

Bibliografia.

Srody Literackie. Kwartalnik pod redakcją Tadeusza Łopalewskiego. Nr. 1. Maj. 1935. Wilno.

Kwartalnik „Źródła Mocy”, który przed paru laty przestał wychodzić, zmartchwystał obecnie pod nowym tytułem i o nieco zmienionej treści, przybył bowiem dział literacki, w którym dominuje poezja. Wśród wierszy o mniejszej lub większej wartości artystycznej zwraca uwagę utwór J. Maślińskiego p. t. „Prędzej strzelać!” W jakim celu zamieściła go redakcja — trudno zgadnąć. Prawdopodobnie po to, aby czytelnik po odczytaniu artykułu prozą pióra tegoż autora o „ewolucjach awangardy” nie upadł ostatecznie na duchu i nie zwątpił w swą inteligencję. Bełkot „poetycki” p. Maślińskiego wystarczająco charakteryzuje jego umysłowość wogóle.

Pozatem zeszyt nie zawiera nic ciekawego. P. W. Dobaczewska jeszcze raz w artykule wstępnym występuje w obronie pogrzebanego, zdawałoby się, projektu Izby Kultury, p. T. Szeligowski rozprawa o roli Chopina w powojennej Polsce, p. H. Obiezińska zastanawia się nad zagadnieniem literatury współczesnej w szkole średniej, wreszcie p. E. Kobylińska-Masiejewska daje niewiedzieć który zrzędu obrazek na tle swych przeżyć, jako nauczycielki w szkole powszechnej czy też średniej. I to wszystko, jeśli nie liczyć kilku suchych artykułów sprawozdawczych ze „Śród Literackich”, z produkcji w Radjo wileńskim, z „Erwuzy” i t. p.

Dział recenzyjny jest bardzo ubogi. Wypełnia go jedna tylko recenzja ks. P. Śledzińskiego o książce J. Remera p. t. „Wilno”. Największą wartość w kwartalniku przedstawia „Dodatek”, zawierający bibliografię ruchu wydawniczego w Wilnie za lata 1919—1931.

Kalendarz Prawosławny na 1935 rok. Tomaszów Lubelski.

Po raz drugi już, z polecenia metropolity Dionizego, wychodzi na gwiazdkę *Kalendarz Prawosławny*, a celem jego — *zaspokojenie potrzeb wiernych prawosławnych narodowości polskiej*. Jest to prezent z sum dyspozycyjnych województwa lubelskiego, który widać opłaca się. Przewodniczący jednak daje tu *calendaria* na rok 1935 i 1936, by wydawnictwo nie straciło swej wartości całkiem, nawet po upływie jednego roku. W chronologii główniejszych wydarzeń z historii Cerkwi (wydawcy wolą tu nazwę Kościoła), używa się terminu albo Rusi (?), albo Polski, a to w myśl znanej zasady endeckiej, że poza niemi *tertium non datur*.

Wśród wykazu obchodów narodowych, roz-polskich, znalazło się... *Święto policji państwowej*. To już więcej niż lojalność... W alfabetycznym spisie imion świętych mniej niż w roku ubiegłym cudacznych imion, jednak daleko mu jeszcze do poprawności. Błąkają się po nim: *Bogolep* (?), *Hurij* (zam. Hurjusz), *Jezekiła* (!), *Mauros* (zam. Maur), *Saweł* (zam. Szaweł), *Szmair* (?), *Własij* (zam. Błażej)...

Wierszyk wstępny Ant. Bogusławskiego zbyt jest słaby, uratowała go zapewne w oczach wydawców od kosza wyrażona w nim tendencja polityczna. Tegoż autora jest zaraz i proza p. t. *Polska — wielkie mocarstwo*, przekładana stylizowanymi fotografiami reprezentantów państwa. Dalej idzie *hierarchja Kościołów prawosławnych zagranicą i w Polsce*, ze spisem dekanatów według diecezji. Nowością w kalendarzu tegorocznym jest zwięzły ilustrowany artykuł o *Ławrze Poczajowskiej*, parę artykułów liturgicznych i najeżonych nowotworami, nie mówiąc już o wołającej o pomstę do nieba polszczyźnie. Mała rzecz — polskie „się”, a pominięcie jego wywraca nieraz sens całego zdania do góry nogami... Z kolei idą próby spopularyzowania żywotów św. św. Jana Teologa, Marji Egipcjanki...

Ikonografię prawosławną reprezentuje artykuł o *cudownych obrazach Matki Boskiej kultu prawosławnego w Polsce* z ilustracją przedstawiającą cudowny obraz M. B. Grodzieńskiej, który pochodzi z w. XVII, zdradza pewne wpływy zachodnie, a czasu ewakuacji Grodna w r. 1915, trafił do Moskwy. Inne artykuły mają za przedmiot marsz. Piłsudskiego, Toruń, oświatę ludową... O nastawieniu autorów i wydawców *Kalendarza Prawosławnego* świadczy taki oto podpis pod portretem Ad. Mickiewicza: *W utworze tym (Pan Tadeusz) opisuje Mickiewicz życie wsi polskiej (sic!) przed stu laty!* — Brawo! Jest sporo humoru niefrasobliwego, trochę ze spraw kobiecych, porad prawniczych i gospodarczych higieny. Dział krajoznawczy zawiera ilustrowane artykuły o Tatrach, Wołyniu, Polesiu..., tudzież mapkę Rzeczypospolitej Polskiej.

Pod względem obfitości wszelkich porad *Kalendarz Prawosławny 1935* prezentuje się pokaźnie i dzięki temu może liczyć na rozpowszechnienie.

Grek.

Czas odnowić prenumeratę na
kwartał II.

SPÓŁKA DUKARSKA

„KRAJ“ dawn. „LUX”.

Wilno, Portowa 7, telef. 203

DRUKI PIĘKNE — ILUSTRACJE WIELOBARWNE

